

BIBLIOTECKA UNIwersytetów Ludowych i MłodziEży Szkolnej—81

---

J. I. KRASZEWSKI

# Żywot i przygody Hrabi Gozdzkiego

Pan Starosta Kaniowski

WYDANIE II



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

1. **Konopnicka Marja.** Dym.
2. — Banasiowa.
3. — Nasza szkapka.
5. **Żeromski Stefan.** Siłaczka. — Na pokładzie.
6. **Prus Bolesław.** Antek.
7. — Na wakacjach. — Katarzynka.
8. **Orzeszkowa Eliza.** Siteczko. — Czy pamiętasz?
9. — Babunia.
11. — Panna Antonina.
12. — A... B... C...
13. **Sienkiewicz Henryk.** Janko muzykant. — Latarnik.
14. — Wspomnienie z Maripozy. — Jamiol. — Organista z Ponikty.
15. — Bartek Zwycięzca.
16. **Galle Henryk.** Czytanki polskie I.
17. — Czytanki polskie II.
18. **Reymont Władysław.** Wiosna.
19. — W porębie. — Przy robocie.
21. — Pewnego dnia.
23. **Kraszewski J. I.** Lokietek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu.
24. **Kraszewski J. I.** Upiór.
25. — Z dziennika starego dziada.
26. — Profesor Milczek. — Rejent Wątróbka.
28. **Rzewuski H.** Kazanie konfederackie. — Książd Marek.
29. — Tadeusz Reytan (z Pam. Soplicy).
30. — Sawa. Pan Borowski (z Pam. Soplicy).
31. **Sienkiewicz H.** Pieszko przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) I.
32. — Pieszko przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) II.
33. — Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży).
34. — Z puszczy amerykańskiej.
35. **Prus B.** Kamizelka. — Michałko.
36. **Dygasiński A.** W puszczy.
38. **Junosza Klemens.** Wilki. — Wesolego.
39. **Tetmajer K.** Książd Piotr.
40. **Gomulicki W.** Chałat.
41. **Żeromski St.** Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy.
42. **Skarbek F.** Łukasz Stempel.
48. **Żmichowska N.** Prządki. — Ze wspomnień dzieciennego wieku.
49. **Sienkiewicz H.** Z puszczy Białowieskiej.
50. — Niewola tatarska.
51. — Pójdźmy za Nim!
53. — Za chlebem.
54. — Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego.
55. — Sielanka. — Legenda żeglarska.
56. **Siemiński I.** Portret króla Jana. Postowie siewiersey.
57. — Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwalji.
58. **Sienkiewicz H.** Orso. — Sachem.
60. **Smoleński Wł.** — Przyczyny upadku państwa polskiego.

J. I. KRASZEWSKI

# Żywot i przygody Hrabi Gozdzkiego

## Pan Starosta Kaniowski

WYDANIE II



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

## Żywot i przygody Imci Pana Józefa Gabryela z Gozda Hrabi Gozdzkiego, Wojewodzica Podlaskiego.

Marszałkiem <sup>1)</sup> wielkim koronnym był podówczas Bieliński Franciszek, który po Mniszchu tę godność piastował; człowiek wielkiego znaczenia, charakteru gwałtownego, dumny władzą i nie szanujący nikogo. Obawiano się jego absolutności <sup>2)</sup>, która przy sile, jaką dawał urząd, istotnie straszną była. Ojca mojego nie bardzo ludzie szanowali, a Bieliński za Boże nie miał go stworzenie. Wojewoda unikał spotkania z nim, bo rzadko kiedy czego nie oberwał, ratując się tem, że z nim styczności nie miał. Nieszczęście chciało, żeby u Małachowskich się zeszli, a że zdawna krzywo na się patrzyli, w pierwszym początku rozmowy marszałek zaraz coś ojcu przyciął. Gozdzkich krew ozwała się w starym, i plunął także ostrym wyrazem. Od słowa do słowa, poczęli sobie przymawiać coraz kwaśniej i do tego przyszło, że wojewoda mu rzekł: »Chociażes waszmość marszałkiem, nie miałbym jego laski na mój kij sękaty«. Bieliński, jak był pasyonat <sup>3)</sup>, tak się rozżarł i zapomniał, że,

<sup>1)</sup> Marszałek — najwyższy urzędnik w dawnej Polsce, pilnujący porządku na dworze królewskim i w stolicy.

<sup>2)</sup> Absolutność — bezwzględność, samowola.

<sup>3)</sup> Gwałtownik.

Muzeum  
JIK  
ROMANOWIE

M/M/ 2216

### SKŁADY GŁÓWNE:

THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC. NEW YORK  
«KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.» KATOWICE

KRAKÓW.—DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI  
1925

powstawszy z krzesła, przystąpił do niego i począł go lżyć ostatnimi słowy, a w ostatku zakończył:

— Milcz... bo możesz się we dwadzieścia cztery godzin ze Świętą Trójcą zobaczyć!

Ojca mojego wyprowadzili, ale że dużo było tej sromoty na tej świadków, że przeciw dumnemu starcowi nic nie mógł począć, powróciwszy do domu, głowę stracił prawie z żałości i gniewu.

Ja o tem nic nie wiedziałem, bom rzadko tam, gdzie ojciec, bywał, mając swoje towarzystwo; wtem wchodzi do mnie nasz marszałek dworu, Papierski, nocą, kiedym do mojej izdebki powrócił, i powiada mi, żebym szedł na górę do jegomości, bo się jakieś zdarzyło nieszczęście. Jużem był kontusz zrzucił i rozpasał się; porwawszy tedy na się, com pod ręką znalazł, skokiem stanąłem w sypialni ojca. Widzę go, z załamanemi rękoma chodzi po pokoju, a łzy mu z oczu płyną... Książę Ludwik Radziwiłł, koniuszy litewski, siedzi z zaciętymi usty, oba milczą. Ledwie mnie na progu ujrzał ojciec, podszedł do mnie z jakimś uczuciem, którego w nim nigdy nie widziałem dla siebie.

— Słuchaj waść, Józefie — rzekł — rzuć imię Gozdzkich... rzuć, dziś ono zbezczeszczone zostało.

— Kuzynie — przerwał koniuszy — uspokój się.

— Jaby mi się miał uspokoić! ja... ja... senator Rzeczypospolitej, publicznie zbesztany, zesromocony... Jak ludziom oczy pokażę, gdy się z tym człowiekiem spotkam? Ani wyzwać na rękę... ani się pomścić.

Krew we mnie zakipiła...

— Ojciec dobrodzieju! — rzekłem — jeśli mam cokolwiek laski, słowo tylko. Kto to uczynił? Kto śmiał to uczynić, a będziesz pomszczonym... przysięgam, będziesz pomszczonym!...

Choć w wielkim nieładzie słów i myśli, wojewoda począł mi rozpowiadać, jak się to stało. Oba starzy byli winni, bo sobie nie szczydzili przyczynków, ale Bieliński stokroć winniejszy, że prywatnego człowieka urazę marszałkostwa swego znaczeniem chciał wetować<sup>1)</sup> i śmiał się odgrażać.

Ledwie się domacał prawdy, jużem się nie zastanawiał nad niczem i postanowiłem za ojca się pomścić, na co natychmiast przy księciu koniuszym wykonałem jurament<sup>2)</sup>; ale na to nie zważali bardzo, mając za próżną przechwałkę. Nie było wówczas człowieka, coby się na Bielińskiego śmiał porwać, bo to pachło szubienicą we dwadzieścia cztery godzin. Myśleli, że, wysapawszy się, pomiaruję, iż mi z marszałkiem walczyć niepodobna.

Ale ja byłem w wieku, w którym niepodobieństw i niebezpieczeństw nie widzi człowiek; awantur mi się chciało, jak rybie wody; ojcowskie poniżenie dawno mi dojmowało, i, gdy po długich lamentach, koło drugiej z północy, odjechał koniuszy, ja, pełną mając głowę zamiarów najzuchwalszych, zbiegłem na dół do mego mieszkania, gniewny, ale dumny, że się na coś przydać mogę.

Taka była natura moja, że, coś postanowiwszy, ani spać, ani jeść, ani się czem innem zajmo-

<sup>1)</sup> Zadośćczynić.

<sup>2)</sup> Przysięgę.

wać nie mógł, dopókim na swoim nie postawił; więc, choć o drugiej z północy, w tejże chwili posłałem po masztalerza<sup>1)</sup> i kazałem mu trzy konie osiodłać, a sam począłem się ubierać. Nie bardzom wiedział, co czynię, to tylko czułem, że nie daruję krzywdy, imieniowi mojemu wyrządzonej. Kazałem pokojowcowi memu, a miałem wówczas bardzo żwawego chłopaka, Sulmierzyckiego, uzbroić się także i, zbiegłszy do stajni, samotrzeć<sup>2)</sup> z pokojowcem i masztalerzem dosiadłem konia i wyjechałem na ulicę. Co tam mną w tej ekspedycji<sup>3)</sup> kierowało, nie wiem; jakiś instykt<sup>4)</sup>, czy wola Boża, dosyć, że się to, niewiele zastanawiając, czyniło, a po myśli się błąkało, żeby wartę pod pałacem marszałka napocząć i przy pierwszym spotkaniu obelgą za obelgę publicznie zapłacić, albo leć mu roztrzaskać.

Dopiero gdyśmy się w czarną noc znaleźli w pustych ulicach, pomiarkowałem, że musiał i nie wiedzieć po co nocą wyruszył, ale już znowu wstyd było zawracać. Puściwszy tedy konia w czwał, poleciałem do pałacu Bielińskich.

Niedaleko Saskiego pałacu, zdaleka mignęły mi dwie pochodnie i kareta. Dopadam i poznaję, jakby mi sam go Pan Bóg chciał dać w ręce, marszałka, który parą ogromnych, całemu miastu znanych tarantów<sup>5)</sup>, powoli do siebie powiacał.

1) Stajennego.

2) We trzech.

3) Wyprawa.

4) Popęd.

5) Tarant — koń nakrapianej czarno z białym maści.

Gdybym miał czas ochłonąć z pasyi<sup>1)</sup>, możebym się zastanowił, że głowę moją ryzykowałem<sup>2)</sup>, ale w tej chwili nic mnie powstrzymać nie mogło. Jakem skoro poznał, że mi los szczęśliwy daje w ręce nieprzyjaciela, pokojowcowi kazałem konie u karety chwycić, a tenby był na mój rozkaz koło młyńskie zębami porwał, konia mojego oddałem masztalerzowi, a sam rzuciłem się do drzwiczek i, gwałtownie je oderwawszy, stałem przeciwko Bielińskiemu.

Stary, pomimo nieograniczonej władzy w mieście i zupełnego bezpieczeństwa o swą osobę, którą prawo otaczało strachem, poczuwając się snać do czegoś, pobladł, ale gwałtowny, jak zawsze, drżał zarazem i wściekał się. Postrzegłem go przy świetle pochodni oniemiałego, z oczyma prawie z głowy wyskakującymi i drżącymi wargami.

— Słuchaj — krzyknąłem — wiesz lub dorozumiewasz się, kto jestem... bo ci sumienie wyrzucać musi, żeś starca publicznie pokrzywdził, a póki jest na świecie choć jeden, imię jego noszący, tego ci darować nie możemy. Jestem Gozdzi... i przyszedłem ci to oddać z nawiązką, czemeś ojca mojego nakarmił. Jesteś podły i nikczemny, boś się rzucił na bezbronno, boś nadużył władzy, boś szlachcica sobie równego uczynił pośmiewiskiem.. Naucz się drugi raz ludzi szanować!

To mówiąc, rękawiczką uchylającego się przede mną i pieniacego się ze złości trzepnąłem po twarzy i odskoczyłem od drzwiczek.

1) Gniewu, uniesienia.

2) Narażałem na niebezpieczeństwo.

Sam nie wiem potem, jakem konia mojego dosiadł i do ojcowskiego domu się dostał. W dziedzińcu rzuciłem wierzchowca i wprost wbiegłem do ojca, który nie spał jeszcze.

— Jesteś pomszczony... — rzekłem, wchodząc — los mi dał spotkać na ulicy Bielińskiego, i na jego twarzy zostanie niezmaszana pamiątka, że śmiał Gozdzkiego upokorzyć.

Ojciec uszom zrazu wierzyć nie chciał, ale się rozradował i do piersi mnie przycisnął. Tuż przyszła refleksya <sup>1)</sup>, co robić, aby uniknąć dalszych takiej sprawy następności. Kto zna wszechwładztwo wówczas Bielińskiego i moc, jaką prawo dawało marszałkom, przy boku króla zostającym, ten tylko pomiarkuje, co nam groziło. Marszałek był pokrzywdzony i mściwy, w ręku miał miecz, którym sobie mógł sprawiedliwość wymierzyć; nie było sposobu uniknienia zemsty jego. Ojciec, choć mu to dogadzało, żem się za jego sprawą, własne nastawiając życie, ujął tak gorąco, głowę stracił. Posłano po księcia Radziwiłła do porady, gdyż, chwili nie tracąc, trzeba było zaraz myśleć o mojem bezpieczeństwie, nimby się Bieliński, ochłonawszy, wziął do mnie.

O godzinie czwartej nadjechał koniuszy i, zrazu wierzyć mi nie chcąc, gdy z zeznań Sulmierzyckiego przekonał się, że wistocie takem się sprawił, powiedział odrazu, że innej rady niema, tylko mnie z kraju wyprowadzić. Lukta <sup>2)</sup> była, gdzie i dotąd, ale

<sup>1)</sup> Zastanowienie,

<sup>2)</sup> Spór.

służył podówczas w wojsku pruskim generał Małachowski, wuj mój przyszły, brat panny Barbary; do tego więc postanowili mnie wysłać. Robiło się to tak, iż konie stały nierozsiodłane, a Sulmierzycki i masztalerz czekali. Siadł wojewoda list pisać do Małachowskiego, ja na dół pobiegłem przeodziać się i chwycić, co naprędce można, zebrało się w domu dwa tysiące czerwonych złotych <sup>1)</sup>, i o brzusku dnia konno wybiegłem z Warszawy, niepewien, czy mnie ścigać nie będą, czy gdzie nie złapią... Na wszelki przypadek byliśmy zbrojni dobrze, miałem dwie pary pistoletów, pałasz i nóż turecki za pasem; Sulmierzycki także, i bylibyśmy dziesięciu się napastników nie zlekli.

Dopiero za miastem, gdy mnie chłodniejsze objęło powietrze i ranek zmęczenie nocne dał uczuć, począłem egzaminować <sup>2)</sup> przeszłość i przyszłość moją, z pociechą widząc, żem nic nie uczynił, czego bym z ochotą nie powtórzył znowu. Sumienie miałem spokojne, strach jakoś nigdy nie miał przystępu do serca mojego, przyszłość się śmiała. Król pruski <sup>3)</sup> właśnie siedmioletnią zabawiony był wojną, dobrego żołnierza, jak ja, odrzucić nie mógł, a kto wie, jaka tam pod okiem takiego wodza dla mnie otworzyć się mogła karyera. Czulem w sobie i męstwo, i potrzebę zajęcia. Warszawa stęchlizną mi śmierdziała, i, choć poza sobą zostawiłem nie lada węzełek do rozplątania, z dobrym humorem jecha-

<sup>1)</sup> T. j. dukatów; dukat = 18 złp.

<sup>2)</sup> Roztrząsać, rozważać, badać.

<sup>3)</sup> Fryderyk Wielki.

łem ku nieznannej przyszłości. Ojciec mi dał znać potem, że nie dalej, jak w pół godziny po moim odjeździe, nasłany na pałac nasz inspektor sądów marszałkowskich, z żołnierzami i pacholkami, zastukał do bramy. Dopominano się, aby mnie wydano, ludzie powiedzieli, że nie nocowałem, bo tak już byli nauczeni. Strzęśli tedy pacholki dwór cały od strychu do piwnicy, nie mijając najmniejszego kącika, szukając i pod łózkami, i po szafach, ale naturalnie śladu już winowajcy nie było. Pobrano ludzi do aresztu, pogoni jednak nie porozysłano, i dali mi swobodnie za granicę pruską się przeprowadzić. Jam tedy prosto do obozu, wiedząc, że tam jest generał Malachowski, pociągnął. Paszport miałem wyrobiony na imię Krzysztofa Sławińskiego, którego nigdy na świecie nie było, i z tem nazwiskiem meldowałem się po drodze, Gozdkiego do kieszeni schowawszy.

Nie było to bez racji<sup>1)</sup>, gdyż zemsta Bielińskiego i zagranicą ścigać mnie mogła. Malachowski przyjął mnie dobrze, ale narazie, gdy wyegzaminował<sup>2)</sup>, co umiem, i popatrzył mi w oczy, uznał jeszcze potrzebnym w pruski egzercyrunek<sup>3)</sup> mnie wdrożyć i kazać mi się uczyć musztry, wedle obyczaju, który tu ściśle był przestrzegany. Wziął mnie jednak za swojego adjutanta, a nimbym mu się mógł przydać do czego, używał do kancelaryi. Wojsko pruskie w owym czasie składało się nie

<sup>1)</sup> Powodu.

<sup>2)</sup> Wybadał.

<sup>3)</sup> Cwiczenie wojskowe.

z samych Niemców, ale z najrozmaitszego pochodzenia ludzi; byli w niem pochwytni i pozaciągani różnymi sposobami, bo i gwałtem, awanturnicy z całego świata, pod karabin postawieni księża, a między tym tłumem różnojęzycznym dosyć też Polaków, którym w domu gnuśny pokój nie smakował.

Człek tedy nie był zbyt odosobiony, bo, choć wolontery<sup>1)</sup> polskie w wojsku pruskiem nie mogły się poszczycić ani imionami sławnymi, ani wychowaniem wytwornym, byli to ludzie, nie nie mający do stracenia, wszakże człowiek choć przez ich usta słyszał miłą mowę swoją i miał się do kogo obrócić.

Byłem naówczas w kwiecie wieku i mogłem się na żołnierza podobać, choćby królowi pruskiemu, który łokciem mierzył swoich gwardzistów i o wzrost dbał więcej, niż o serce. Pan Bóg mi dał i postawę dzielną, i twarz piękną, i ramiona szerokie, i oko wesołe, i usta uśmiechnięte nawet w biedzie, a humor prawdziwie wówczas miałem żołnierski. Nigdy się nie zachmurzył, nie zatrwożył i nie dał wziąć pomieszany, przytomność największą i porywczosć też miałem wielką; ale, odbywszy w obozie, który niedaleko był austriackiego feldmarszałka<sup>2)</sup> Laudona, trzymany przez Malachowskiego na pasku, żebym jakiego wybryku nie zrobił, nie spróbowałem jeszcze pałasza i nie powąchawsze prochu, nudziłem się, że mnie w kancelaryi ciągle zamykano.

<sup>1)</sup> Ochotnicy.

<sup>2)</sup> Głównodowodzący armią.

Dosyć długi czas nie było na to rady. Małachowski mi wciąż odpowiadał: — Przyjdzie i do tego, poczekaj.

Czekaj! czekaj! a tu korciło, mundur już nosząc, ochrzcić go krwią nieprzyjacielską i czemś się odznaczyć, bo taką miałem zawsze naturę, żem spokojnie w kącie siedzieć nie potrafił. Chciało się próbować, czy też Niemiec się bije i jak, a nie miałem ich za Boże stworzenia, wyobrażając sobie tylko takich Niemców, jakich u nas widać za warszlatem, co krzyczą czasem, ale przed pałaszem się chowają do dziury.

Raz i drugi tedy Małachowskiego proszę: — Kochany generale, dajże mi też mięsa białego<sup>1)</sup> spróbować. Coż ze mnie za żołnierz, kiedym jeszcze nawet na żart w pole nie wyszedł?...

Ten się trochę śmiał, ale pod różnymi pozorami nie puszczał, nudząc musztrą, która więcej czasu brała, niż wszystko. Mnie się zdawało, że to na nic nie przydatne, ale pruski żołnierz był lalką, którą musiano nieustannie stroić, przestawiać, prostować, szykować, aby z niego jakąkolwiek całość zrobić, bo toby inaczej jedno się drugiego nie trzymało.

Tak mi w końcu obozowe życie dojadło, żem już wytrzymać nie mógł i postanowiłem najmocniej czemś się przeciw odznaczyć.

W regimencie<sup>2)</sup> Małachowskiego najwięcej było Polaków, z tymi tedy najprzód porozumieć

<sup>1)</sup> T. j. Austryaków, którzy nosili białe mundury; z nimi walczył wówczas król pruski.

<sup>2)</sup> W pułku.

się przyszło. Pieniądze miałem i wcalem ich nie żałował, żołnierz był skąpo płatny i w wielkim trzymanym rygorze<sup>1)</sup>; gdym więc zaczął ich poić i karmić na mój rachunek, a z nimi za pan brat sobie poczynać, w krótkim czasie zjednałem ich sobie do jednego, tak, iż byliby się pokrajać dali za mnie.

Gdziem się w obozie pokazał, otaczali mnie i na rękach nosili, ale też nigdy na sucho się nie obeszło, i zawszem spotkanie przyplacił. Jużem tak kilka miesięcy nowicyatu<sup>2)</sup> odbył uprzykrzonego wielce, gdy jednego wieczora, znalazłszy Małachowskiego w usposobieniu powolniejszym, jałem go prosić, ażeby mi na patrol nocny jechać pozwolił.

— Tobie się chce koniecznie głupstwo jakieś zrobić, a mnie i sobie kłopotu... dałbyś spokój. Spodziewamy się bitwy, no to sobie pozwolisz i mięsa niemieckiego spróbujesz... miejże cierpliwość.

Wyperswadować<sup>3)</sup> mi było trudno, kiedym się na co wziął; jakem go jał modlić, i prosić, i przekonywać, choć przeciw przekonaniu, dał mi nocny patrol dowodzić. Obozy nasze prawie się z sobą stykały, wyleciałem z komenderówką<sup>4)</sup>, gdyby szary, wprost do moich i dałem sobie słowo skorzystać z okoliczności. W bitwie żadnej jeszcze nie byłem, chciało mi się jej nad wszelki wyraz... nudziło mnie już to patrzeć na Austryaków... Więc

<sup>1)</sup> Karności.

<sup>2)</sup> Nowicyat — czas próby w klasztorze, potem wogóle czas przygotowywania się do jakiegoś zawodu.

<sup>3)</sup> Wytłómaczyć.

<sup>4)</sup> Z rozkazem.



konia siodłać, zbroję się, ludzi wzięwszy, za obzów wyjeżdżamy; tu kazałem im stanąć; a byli prawie sami Polacy i przyjaciele moi.

— Słuchajcie, ichmoście — rzeknę — za ten patrol, któremu kazano stać i patrzeć, ja odpowiadam, jako dowodzący... dla was z przestąpienia rozkazów niema żadnego niebezpieczeństwa, moja głowa za to odpowiada...

Dobylem worka z kieszeni.

— Otóż macie każdy gemejn<sup>1)</sup> po dukacie, sierżant po trzy dla ochoty, a musimy dziś Austriaków przydybać i z nimi się spróbować.

W pobliżu obozu była karczma, w pobliżu której zastanowiliśmy się. Kazałem beczkę wytoczyć i na humor pić im dałem, ile chcieli, ale jednak tak, aby się nikt z nóg nie zwałił. Pilnowali sierżanci.

Kiedy już dobrze podochoceni zostali, zawołałem na koń, sam siadłem i mówiłem do nich tak:

— Trzeba się nam czemś odznaczyć, jest nas garść Polaków, między obcymi żaden jeszcze nie takiego nie zrobił, czemby Prusaka przekonał, że męźniejszego żołnierza i ludzi większego serca od nas niema na świecie. Panowie bracia! dziś, albo nigdy! Musimy im pokazać, czem jesteśmy... Latwo nam przebaczą, gdy powiązanych przyprowadzimy Laudonowskich baranków... Zgoda?

— Zgoda!

— Dla sławy oręza polskiego — dodałem — naprzód!

<sup>1)</sup> Szeregowiec.

Zamruczało kilku, ale słuchać musieli...

Noc śpiesznie nadchodziła, i my pociągnęliśmy ku linii patrolowej. Kapral dostał języka<sup>1)</sup> zaraz, że trzechset Austriaków najspokojniej sobie w pobliższej na stronie karczynie rozłożyło się nawet bez placówek. Nie mogłem tego zrozumieć, czemu by tak mało się nas spodziewali; ale okoliczność zdawała się jedyna. Na nieszczęście nic o tem nie wiedziałem, że między armiami naszymi, tegoż ranka, kilkodniowy zawarty był rozejm...

Na miejscu, wyznaczonem do placówki, zostawiwszy tych, co iść nie chcieli na wyprawę ze mną, sam w 60 ludzi posunąłem się ku karczynie, do której światło nas prowadziło. Zbliżyliśmy się w cichości największej; rozstawiłem strażę wokół, objąłem karcznię, opasałem ją, opanowałem na przód bez wystrzału konie, które stały w zagrodzie nieco opodal. A potem z krzykiem na dany znak mój rzuciliśmy się na gospodę.

Myślałem, że do żwawej przyjdzie utarczki, bo Austriaków było cztery razy tyle co nas. Huknęliśmy więc, dając po raz pierwszy ogień. Harmider się wszczął wielki; z rzadka tam wystrzelili do nas, ale bez szkody. Wypadli, ale żeśmy ich ze wszech stron objęli, musieli się poddać prawie bez oporu. Nuż ich tedy wiązać, jak baranów, a ja, szczęśliwy, jak nigdy, obliczywszy się, postrzegłem, że ich trzechset ułowiłem. Wytoczyłem w karczynie, co było, dla swoich ludzi, i skoro świt, do obozu ze zdobyczą, wyobrażając sobie, że he-

<sup>1)</sup> T. j. wiadomość.

roicznego<sup>1)</sup> dzieła dokonał, które mnie u króla sławę i estymacyę<sup>2)</sup> nie lada wyjedna...

Żem się w tej wyprawie dobrze zaszargał i ubłocił, poszedłem się przebrać do mojej kwatery, chcąc zaraz zameldować zdobycz generałowi Małachowskiemu. Wskok to odbyłem i już lecę do jego namiotu, gdy widzę, że mnie austriacki parlamentarz<sup>3)</sup> poprzedza. Wpuszczono go naprzód, zabawił chwilę. Ja stoję, aż mi się w piersi gotuje, żeby się pochwalić... a tu, ledwie się Austryaka pozbył Małachowski, wypada na mnie, rwąc włosy na głowie.

— Taś to WPan tego nieszczęścia sprawcą?

— Jakiego nieszczęścia? panie generale... przyprowadziłem trzechset Austryaków, wziętych przeze mnie w niewolę.

— A bodajby cię byli dyabli wprzód wzięli, szaleńcze, waryacie! w wojsku nie heroizmu<sup>4)</sup>, ale posłuszeństwa potrzeba przedewszystkiem. Kto ci kazał napadać, bić się i rozejmu nie szanując, awanturę robić?

— Ale ja nie wiedziałem o rozejmie!

— Do aresztu! pod wartę! — krzyknął Małachowski — pod sąd wojenny! Tylko co odszedł oficer od Laudona, skarżący się na złamanie prawa narodów i nieposzanowanie rozejmu. I tak już wojsko pruskie złej famy<sup>5)</sup> używa. Zbezczęścieś

1) Bohaterskiego.

2) Poważanie.

3) Wysłaniec od jednej armii nieprzyjacielskiej do drugiej.

4) Bohaterstwa.

5) Fama — sława.

nas w oczach nieprzyjaciół! Co król powie? co król powie?

Po desperacyi<sup>1)</sup> Małachowskiego zmiarkowałem, jakim głupstwo zrobił, ale na to nie było rady.

Trzeba wiedzieć, że rozejm ten niełatwo było wyjednać, a król pruski wszelkich praw wojskowych ściśłym był przestrzegaczem; zrobiło się więc z tego, że, com z Warszawy uciekł od sprawy gardłowej, tom znowu w niebezpieczeństwo życia najniespodziewaniej popadł.

Małachowski natychmiast kazał mię aresztować, i po minach otaczających i ze słów ich zmiarkować było łatwo, że sąd wojenny żartować nie będzie. U nas w Polsce szlachcicowi łatwiej się było zawsze wykręcić to protekcyą<sup>2)</sup>, to pieniędzmi, to łaską, to układem, ale w pruskim wojsku srogość była niezmierna, i król, dowiedziawszy się o zgwałceniu rozejmu, przysiągł, że nie daruje winowajcy, który wojsko jego, jak garść awanturników, nie znających porządku i ładu, skompromitował<sup>3)</sup>.

Wzięto mnie pod wartę ostrą; nie było sposobu pomyśleć o ucieczce nawet, a w godzin dwie stawiono przed sądem. Ani wiem, com tam gadał i jakim się tłómaczył; bo wśród tych nocnych i dziennych wypadków i najmniej spodziewanego końca zupełniem stracił, pierwszy raz w życiu, przytomność.

1) Rozpaczy.

2) Protekcyja — stósunki, poparcie.

3) Okrył wstydem.

LIBRARY  
KIK  
WARSZAWA  
2216

Miałem przy sobie ciągle starego unteroficera <sup>1)</sup>, Sandomierzanina Wolkowskiego, ciurę i pijaka, ale pocziwego serca człowieka, który się do mnie był niezmiernie przywiązał.

Pod noc, kiedy, siedząc, medytuję <sup>2)</sup> nad marnością rzeczy ludzkich, wchodzi Wolkowski, ale jakby go z krzyża zdjęto, napiły widocznie i cały we łzach.

— A co, panie poruczniku?... kiepsko.

— Cóż się tam dzieje? — zawolałem.

— Nic, tylko pana, słyszę, powiesić mają w środku obozu i już szubienicę stawić kazali.

Skoczyłem wściekły.

— Rozstrzelają chyba! — zawrzałem.

— Gdybyż choć tak... ale mówią, że król gniewa się i na szubienicę skazał... przypadłem do pana po dyspozycję... <sup>3)</sup> Sulmierzycki powiada, że pan jeszcze dosyć masz pieniędzy... te Prusaki gotowi zabrać. Każ pan nam, Polakom, je rozdać... wiernieśmy panu służyli, a teraz przez niego biedę cierpim...

Plakał, lzy rękawem ocierał i do kolan mi się klaniał. Przekonany jestem, że miał do mnie przywiązanie, ale, jako żołnierz, życia nie cenił bardzo i, już się obywszy z tą myślą, że mnie powieszają, żałował tylko mojego grosza, żeby go Prusacy nie przywłaszczyli.

— Czyż mnie generał Małachowski nie po-

<sup>1)</sup> Podoficera.

<sup>2)</sup> Rozmyślam.

<sup>3)</sup> Rozporządzenie.

trafi obronić? — zawolałem do Wolkowskiego — to być nie może. Cóżem zresztą tak straszego zrobił? Trzebaż mi było powiedzieć o rozejmie, kaduk <sup>1)</sup> ich tam wiedział... a żołnierzowi zawsze siekaniny się zachce... Powinni byli przestrzedz.

— Komenda była: stać na patrolu i nie więcej.

— U tych dyabłów wszystko po komendzie, a nie po sercu... Ale zjedzą licha, żebym im się dał powiesić.

Wziąłem parę pistoletów do kieszeni i siadłem.

— A tłumoczek, panie poruczniku? — pyta, płacząc, Wolkowski.

Ażem go połajac musiał, żeby się pozbyć. Mnie chodziło o życie, a temu o dukaty moje, bo już mnie miał za skazanego bezpowrotnie na tamten świat.

Posłałem go do generała, prosząc, aby się ze mną chciał widzieć. Sam nie wiedziałem, co począć; pojęcie niebezpieczeństwa powoli mię przejmowało, i jakoś na przemiany to wściekłość ogarniała, to żal niewymowny życia, które marnie dla popisu utracić miałem.

W dodatku ta sromolna szubienica, którą widziałem przed sobą, dreszczem mnie przejmowała. Chodziłem, jak obłąkany, ale, już nic nie mając do stracenia, postanowiłem drogo sprzedać życie i bronić się do upadłego.

W moment powraca Wolkowski, z doniesieniem, że generała niema, bo, do królewskiej kwatery wezwany, tłomaczyć się pojechał.

<sup>1)</sup> Dyabeł.

Trochę życia wstąpiło we mnie, bom czuł, że mnie tak nie da obwiesić, nie spróbowawszy szabli. Ale z Fryderykiem II sprawa była ciężka, gdy co postanowił, i w dyscyplinie militarnej<sup>1)</sup> ludzkie życie za fraszkę się liczyło.

Wołkowski wciąż u drzwi, a co chwila mi tłumoczek i dukaty przypomina, żebym ich Prusakom skonfiskować<sup>2)</sup> nie dał; mało go nie ubił z gniewu. Późno w noc posłałem znowu do Małachowskiego, ale jeszcze nie powrócił.

Wiele się w życiu przybyło na wozie i pod wozem, mospaneńku, ale tej nocy szubienicznej i tego, czem mnie ona nakarmiła, nie zapomnę do śmierci; jeszcze mnie przechodzą śmiertelne dreszcze, gdy mi to na myśl przyjdzie; a we śnie ów namiot i Wołkowskiego u drzwi i tę ciszę, przerywaną tylko obozowym obluzem<sup>3)</sup> warty, często jeszcze mam na oczach.

Gdyby tak dziś gardło dać przyszło, jużby to takiego nie zrobiło wrażenia; ale wówczas, gdy byłem w pełni sił i życia, gdy mi się uśmiechało wszystko, i jeszcze dla tych pluder<sup>4)</sup> niemieckich pójść na szubienicę, jako złodziej... nie zdziwił się, gdy ci powiem, żem omal nie zwaryował. Rzuciłem się w najdzikszych projektach, między którymi było i wartę moją ubić, a pieszo uciekać z obozu, i domagać się widzieć z królem, i kaduk

<sup>1)</sup> Karności wojskowej.

<sup>2)</sup> Zabrać.

<sup>3)</sup> Obluz — zmiana warty.

<sup>4)</sup> Pluder — pogardliwe miano Niemca; od pludry — spodnie bufiaste, przez Niemców wówczas noszone.

wie co... Ale co to natura; nad rankiem, mimo tego niepokoju, który mną miotał, sparłem się na stole i takem, nie wiedząc jak, zasnął. Sen był dalszym ciągiem tego, co mnie dręczyło na jawie, przerywany i gorączkowy. Zerwałem się z niego, sądząc, że mnie na śmierć już prowadzić mają, gdy ujrzałem starego Małachowskiego, który mnie targnął za rękaw, żeby mnie obudzić.

— Generale, ratuj! — wykrzyknąłem, rzucając się ku niemu.

— Szalonego nikt uratować nie może, kiedy sam głową w przepaść leci... — surowo odezwał się Małachowski. — Byłem u króla, musiałem mu powiedzieć wszystko, wydać imię twoje, odkryć pokrewieństwo, rozczulić go młodym wiekiem i nieświadomością prawa... prosiłem i błagałem, ale Fryderyk jest surowy.

— I cóż?

— Nie daje się zmiękczyć; jedź wpan ze mną... sam staniesz przed nim i będziesz się tłumaczył... Trochę ducha wstąpiło we mnie.

Szarzeń poczynano, gdyśmy stanęli przed domkiem dosyć lichym, który Fryderyk zajmował; dotąd widywałem go tylko zdaleka na paradzie, z laską i tabakierką, dziwnie do bohatera niepodobnym; teraz miałem się zbliżyć w chwili stanowczej, która los mój miała rozstrzygnąć.

W domu tym nic nie znamionowało króla, nawet naczelnego wodza. Była to kurdygarda<sup>1)</sup> dymu pełna, piwem trąca i brudna... Ogromne

<sup>1)</sup> Izba żołnierska na odwachu.

draby trzymali wartę w sieniach... cisza panowała, surowo zachowywana.

Weszliśmy z generałem do izby, w której dwie świece w prostych lichtarzach paliły się na niepomalowanych stołach. Czekał w niej jakiś starszy wojskowy z raportem i parę mniej znaczących figur. Mnie postawiono u drzwi... Drzwi od gabinetu królewskiego były zamknięte, milczenie przerywane tylko szcękaniem broni w sieniach... Czekałiśmy chwilę wiekuiście długą; naostatku wezwano generała do króla, i drzwi znowu zamknięto. W oczach mi się ćmiło, gdy usłyszałem nazwisko moje, i jakiś wojskowy wepchnął mię raczej, niż wprowadził, do gabinetu.

Był to pokój niewielki, wcale nie przybrany, w środku stół, kawałkiem sukna przykryty, na nim zegar stary leżący, papierów kupa, mapy i fletowers<sup>1)</sup>. Generał stał z boku, a przeciw sobie ujrzałem króla, w wyszarzanym i połatanym mundurze, w kapeluszu na głowie, przypatrującego mi się z miną surową. Twarz jego czysto niemiecka miała w sobie coś dziwnie poważnie śmiesznego, długa, wyciągniona i nastrojona surowo, a jednak nie budząca poszanowania, strach jakiś raczej. Rysy były zwiędłe, zmarszczki głębokie, oczy wpadłe, ale przenikliwe wzrokiem... Prosty żołnierz wykwintniej od niego był ubrany, tak jakoś brudno wyglądał!

Najprzód w milczeniu obejrzał mnie od stóp do głowy okiem znawcy, który ocenia człowieka, jako żołnierza, i znać postawa moja, wzrost, mina

<sup>1)</sup> Flet.

musiały go korzystnie uderzyć. Zaraz złagodniała twarz i lekki, niedostrzeżony uśmiech przeleciał po ustach bladych i wąskich.

— Waćpan jesteś ten *foedifragus*?<sup>1)</sup> — spytał po francusku. — Wiesz, co cię czeka?

Zem o tem dobrze wiedział, szubienica obiecana dodała mi odwagi i słów mi w gębie nie zabrakło.

— Co możesz powiedzieć na usprawiedliwienie swoje? — podchwycił, krok odstepując.

— Najjaśniejszy panie — odezwałem się — unikając prywatnej Bielińskiego zemsty, uciekłem do obozu waszej królewskiej mości, ciesząc się, że w tem miejscu zbierać będę laury, rosnące obficie pod okiem Fryderyka... Pałałem żądzą wstawienia się jakimkolwiek czynem, lecz generał Małachowski bronił mi i zagradzał wszelką odznaczenia się drogę... Gdym go wreszcie uprosił, że mi dozwolił wynijść z patrolem, chciałem tę pierwszą chwilę czynnej usługi waszej królewskiej mości uświetnić jakim czynem, godnym pamięci; rozumiałem, że, w osmdziesiąt koni zabierając trzechset Austryaków, zasłużę sobie i rodakom moim na pochwałę, a tu los przeciwny śmiercią mi haniebną za to zagroza, com mniemał godnem nagrody.

Ta mowa moja widocznie się podobała. Zażył tabaki, uśmiechnął się nieznacznie i począł coś na stoliku machinalnie przezierać, poglądając na mnie w milczeniu z ukosa.

— Jakże waćpan chcesz, bym na to poradził —

<sup>1)</sup> Ten, co łamie rozejm (łac.).

odezwał się po chwili namysłu Fryderyk, oddając mi życie, które w piersi wstępowało. — Cóżbyś zrobił, gdybyś był na mojem miejscu?

Stawił mnie na dziwnej próbie, zadając to pytanie, z którego wypadło wyjść bez upodlenia i przytomnie; szczęściem, jużem czuł, że szubienica była daleko, i żywo odparłem:

— Najjaśniejszy panie, gdyby to ode mnie zażyć miało, kazalbym, dla uspokojenia Laudona, powiesić na szubienicy portret oficera Sławińskiego, a Józef Gozdzi, wdzięczny za ocalone życie, wiernieby służył monarsze, największemu w Europie wodzowi.

Uśmiechnął się Fryderyk, spozierając na Malachowskiego. Sprawa była wygrana widocznie.

— Zgadłeś, właśnie, żem tak chciał uczynić — odezwał się po chwili. — Idź waćpan i nie grzesz więcej... — rzekł, kończąc żartem. — Mam nadzieję, że mi z twojem męstwem przydasz się na polu bitwy.

Skłonił głową, a ja, nizki oddawszy pokłon, co najprędzej się wyniosłem, oczekując w przedpokoju na Malachowskiego. Alem już głowę podniósł, ożył, i pilno mi było wyjść, aby odetchnąć powietrzem na nowo z tą nadzieją przyszłości, której przed chwilą byłem pozbawiony, a która mi teraz nektarem<sup>1)</sup> smakowała, jakbym się na świat narodził.

Fryderyk Wielki wydawał mi się teraz największym i najmędrszym z monarchów świata ca-

---

<sup>1)</sup> Nektar — podaniowy napój bogów greckich.

tego, i gotówem był za niego do ostatecznej kropli krwi przelać.

Tegoż samego dnia nastąpiła egzekucya<sup>1)</sup> Sławińskiego, którego imię i wizerunek powieszono na szubienicy pośród obozu Laudona; osoba bowiem się nie znalazła, a Józef Gabryel Gozdzi pod własnem imieniem wstąpił w aktualną<sup>2)</sup> służbę króla pruskiego, w regimencie Malachowskiego, jako podoficer.

Otóż jak się ta sprawa, która szubienicą pachła, szczęśliwie skończyła, a Wolkowski lzy otarł przy kieliszku.

---

<sup>1)</sup> Stracenie.

<sup>2)</sup> Czynną, istotną.

## Pan starosta kaniowski.

Dostało mi się przeżyć te czasy, gdy się do syła było można ludzi napatrzeć, którzy do pospolitych nie byli podobni, a mieli fantazję, czy złą, czy dobrą, ale swoją. Później już nastąpiła moda pewna, do której młodzież z dzieciństwa naginano, aby kubek w kubek jeden do drugiego przystawał, i poczęto mieć to za przyzwoitość największą, gdy kto, jak pieniądz z pod stempla, wyszedł z edukacyi<sup>1)</sup>... podobnusięńki do modnego wzoru. Za naszych czasów, choć z pewnych reguł<sup>2)</sup> nikt się nie wyłamywał i one szanował, w innych sprawach miał sobie za obowiązek nie kłamać ani postawą, ani gębą, ani peruką, ani zębami przyprawnymi, ani łagodnością, jeśli jej nie miał, ani męstwem, jeżeli mu go Pan Bóg nie dał. A już to rzecz mogę śmiało, że ludzi osobliwych inneby może czasy tyłu nie okazały, co ostatnie lata Rzeczypospolitej. Niech mi kto okaże takiego pana, jak księżę nasz, woje-

1) Wychowania.

2) Prawideł.

woda Panie Kochanku<sup>1)</sup>, jak pan starosta kaniowski, jak Gozdzki, brat przyrodni księżnej de Nassau, jak Jabłonowski, że innych pomnę... bo pomniejszych nie zliczyć. Na małych zagrodach też było podostatkiem mniejszych takich oryginałów<sup>2)</sup>, co na małą skalę<sup>3)</sup> i tamtych nie ustępowali. Com się ja ich napatrzył! Ale kto by tam o chrząszczach pisał, kiedy się o orły ocierał.

O panu staroście kaniowskim chodziło historyi dużo, nie wszystkie prawdziwe, bo na karb takich ludzi kładną często, co im nie należy; ja tylko tu o jednej awanturze powiem, w której kosa trafiła na kamień, jak to pospolicie mówią, i ów kawaler renomowany<sup>4)</sup>, jaśnie wielmożny wojewodzie Gozdzki... stał się ze starostą kaniowskim. Gozdziem, że szczęście we wszystkich jego awanturach służyło dziwnie, bo też męstwa był nieustraszonego, tak go to uzuchwiliło, że się gotów był porwać na samego dyabła. A miał to do siebie, że, gdy słyszał o równym sobie śmiałku, korciło go niezmiernie guza nabić lub napytać. Naturę miał zawždy<sup>5)</sup> niespokojną, a w spoczynku długo trwać nie potrafił.

Gozdzki już naówczas — na pniu sprzedawszy za bezcen przyszły spadek, bodaj po Humieckich — okupił się na Rusi, nabywszy miasteczko Jaryczów. Zył poczęści tu, czasami we Lwowie, gdzie awantury

1) Karol Radziwiłł.

2) Dziwaków, cudaków.

3) Miarę.

4) Słynny.

5) Zawsze.

wyprawiał, bo był krewki z natury, szczególnie do pięknych kobiet; o te we Lwowie nigdy nie było trudno, i miały też, Bóg raczy wiedzieć, czy słusznie, famę<sup>1)</sup>, iż holdów nie odrzucały.

Pan Bazyli Potocki, starosta kaniowski, naówczas się był właśnie, wedle swej fantazy kozackiej, ożenił. Nie znalazłszy panny w magnackim domu, któraby za niego iść chciała — bo się go wszyscy obawiali, szczególnie gdy siwuchy się napił — rzucił okiem na ubogą szlachciankę, córkę ekonoma, który u niego rządził jednym folwarkiem. Biedny Dąbrowski ów miał to sobie za wielkie szczęście, że taki pan zażądał od niego dziecka, a choć dziewczyna z płaczem do nóg mu padała, wyprasząc się od szczęścia tego, nic nie pomogło, musiała ślubować panu staroście. Kobieta była dziwnie piękna, skromna, łagodna, a jak się to nieraz zdarza u nas, choć edukacyi wielkiej nie miała, ledwie czytać i pisać od matki się wyuczywszy, rozumu jej nie było brak, ani tej szlachetności jakiejś, którą, niech mówią, co chcą, człowiek z sobą na świat przynosi. Kto jej nie ma, choćby się złotem obszył cały, będzie na chłopca wyglądał, a komu ją Bóg dał, panem musi być, choć w łachmanach. Panna tedy Dąbrowska do takich wybranych istot należała, co to w zgrzebnej<sup>2)</sup> koszuli do królowych są podobne. Starosta kaniowski, raz ją u ojca zoczywszy na folwarku, nie uspokoił się, aż, tentując<sup>3)</sup> różnie, do ślubu z nią iść musiał. Poczęło się tedy

<sup>1)</sup> Sławę.

<sup>2)</sup> Z grubego płótna.

<sup>3)</sup> Próbując.

życie, zrazu znośne, a dalej, przy zalanej pałce, okrutne i nielitościwe. Bywało, jak powiadano, że ją i kijem skropił, i różgami karał, i do kordygardy<sup>1)</sup> między kozaków swoich odsyłał za urojone przewinienie. Kobieta była zacna, uczciwa, ale fantazyom szalonym, uwłaczającym jej, ulegać nie mogła. Dziwy tedy prawie zaczęto o tyranii starosty, który, jak z innymi, tak z żoną podczas<sup>2)</sup> się obchodził, jakby nie Potockim był, ale prostym chamem.

Chodziły o tem wieści po kraju, rozpowiadano, może i dorabiając, osobliwe przygody, a wszyscy się nad nieszczęśliwą starościna litowali. Doszły te plotki do Lwowa, gdzie je na pytel<sup>3)</sup> wzięto. Więc jejmoście lwowskie, nad losem biednej kobiety płacząc, pomsty Bożej na okrutnika wzywały.

Była naówczas mieszczanina pewnego żona, niejakięgo Janasza, jeśli dobrze pomnę, kobieta fertyczna<sup>4)</sup>, języka doskonałego, wyszczekana, śmiała, którą Gozdzki polubił i, proszony, czy nie proszony, do niej jeździł, choć mąż się krzywił na to. Jemu to było wszystko jedno, bo, żeby słówko pisnął, wyplazowałby<sup>5)</sup> go niechybnie. Mieszczanin, spokojny człek, wreszcie tę łaskę pańską znosił, acz kwaśno, tyle tylko czyniąc, że, ile razy mu gościa tego lichu wniosło, zawsze z respektem<sup>6)</sup> wielkim

<sup>1)</sup> Izba żołnierska na odwachu.

<sup>2)</sup> Niekiedy.

<sup>3)</sup> T. j. na języki.

<sup>4)</sup> Zręczna.

<sup>5)</sup> Wybił płazem szabli.

<sup>6)</sup> Szacunkiem.



asystował, na krok od jejmości nie odchodząc. Gozdzki go poić próbował, bo głowę miał, jak wiadomo, co antał węgryzna znieść mogła, ani zawróciwszy, ale Janasz też ciągnął nie gorzej. Więc się w końcu ściskali, i mieszczanin jeszcze wojewodzica do powozu sadzał, sam potem pod studnię idąc, aby pochmielu<sup>1)</sup> zbyć.

Raz, u pani Janaszowej będąc, Gozdzki pod dobry humor, gdy różne rzeczy opowiadała, zabawiając go, posłyszał o staroście kaniowskiej, jaki los jej zgotował pan Potocki. Ze to było przy kieliszku, wziął do serca choć, jak żyw, nigdy owej pani w oczy nie widział. Janaszowa po kobiecemu dosypywała do powieści pieprzu i soli. Gozdzkiemu nie trzeba tego było, aby w ferwor<sup>2)</sup> wpadł.

— A to łotr! a to niegodziwiec! rozbójnik! — począł — nie wart takiej żony... kto pocziw, odebrać mu ją powinien.

— Jeśli kto, to pan wojewodzie jeden uczyniły to mógł — odezwała się Janaszowa — boć nikt inny nie podola staroście... ani się z nim mierzyć może. Ale to i dla pana wojewodzica twardy orzech do zgryzienia, boć to żona... mąż i żona jedno ciało, ktoby między małżeństwo chciał się mieszać... albo ważył? I panbyś na to nie poradził...

Gozdzki wesa pokręcił.

— Tak asińdzka myślisz? — zapytał.

1) Zawrót głowy po przepiciu.

2) Zapal.

— Nie inaczej — rzekła Janaszowa.

— A cobyś asińdzka powiedziała, gdybym ja mu ją odebrał?

— To nie może być — odezwała się piękna mieszcza.

— Parol<sup>1)</sup>, że to uczynię — krzyknął Gozdzki.

— Nie chcę wojewodzica wyciągać na słowo, bo, co niemożliwe, to trudno... Naprzód żoną jego jest, a powtóre, on starosta kaniowski, a o niego ocierać się, choćby tak rezolutnemu<sup>2)</sup> kawalerowi, za jakiego pan jesteś znany, niebezpiecznie.

Podbiła mu baba bębenka<sup>3)</sup>, jakby naumyślnie; Gozdzki się zaciął.

— Jejmość mnie nie znasz — zawołał — ja, gdy co postanowię, gdyby dyabeł na dyabła siadł, albo życie stracę, lub na swem postawię.

Pan Janasz, który konwersacyi<sup>4)</sup> przytomnym był, zmiarkowawszy, iż pocziwa jego żona bodaj naumyślnie wojewodzica ku staroście wysyłała, aby sama się od jego natrętności uwolniła, zwąchawszy pismo nosem, jął też ze swej strony przydawać, na jak wielkie niebezpieczeństwa naraziłby się Gozdzki. A temu w to graj! świerzbiała go skóra... więc tak się na niewidziane rozkochał w staroście, jakby ją jedną w sercu nosił.

Janaszowa się go zbyła... ale, powróciwszy do Jaryczowa, nie mógł już usiedzieć, aż się zaraz rozwiedział o staroście, gdzie, co i jak... co się

1) Słowo.

2) Dzielnemu.

3) T. j. podnieciła, podburzyła.

4) Rozmowy.

z nią działało. Znaleźli się ludzie, którzy ją widywali, inni, co słyszeli o tyraniach, potwierdziło się w znacznej części przywiezione ze Lwowa. Gozdzki mocne powziął postanówienie starościnę z rąk męża wyrwać.

Taki on był, wmówił sobie, że to bohaterstwo być miało i sprawa honoru ująć się za pokrzywdzoną i uciemioną niewiastą.

W Jaryczowie koło siebie chował zawsze dworzan i niby milicyi głów do stu. Bywało mniej lub więcej, bo z nim wytrwać długo była sztuka, a kto się tam zgłaszał, pewnie więcej miał szaleństwa, niż statku. Ludzie jego, jak on sam, desperaci<sup>1)</sup>, musieli iść ślepo za nim, w ogień i wodę, gdzie dał komendę... a pierzchnął który lub zawadzał mu, nie miał już po co powracać. Karmił i poił, co się zowie, pieniędzmi obsypywał, lecz też gdy huknął: wiara! za mną!... nie było co się oglądać. Zaraz tedy z całą tą siłą jaryczowską Gozdzki się jął wybierać na starostę, nie wypowiadając mu wojny, jak ów Fryderyk II pruski na Saksonię, czasu siedmioletniej<sup>2)</sup>. Sam naturalnie dowodził tą bandą.

Poszły naprzód szpiegi, ażeby się dowiedzieć, na którym folwarku przebywała starościna i rekognoskować<sup>3)</sup> pozycyę<sup>4)</sup> i siły nieprzyjaciela. A nad nim miał ten awantaż<sup>5)</sup> Gozdzki, że pan kaniowski znał jego nienawiść ku sobie (odgrazali

<sup>1)</sup> Desperat — śmiałek, zuchwalec.

<sup>2)</sup> W latach 1756—1763.

<sup>3)</sup> Podpatrzyć.

<sup>4)</sup> Stanowisko.

<sup>5)</sup> Wyższość.

się wzajem oddawna), ale spodziewać się immiksyi<sup>1)</sup> w swe domowe sprawy nie mógł. Na to tylko potrzeba było takiej szalonej pałki, jak wojewodzica. Już z Jaryczowa wybierać się mieli, gdy wypadkiem tam przytomny przyjaciel Gozdzkiego, pan Przyłuski, któremu się wypowiadał z zamiaru, zrelektował<sup>2)</sup> go.

— Bój się Boga — rzekł — tak się nie czyni, to inwazyja<sup>3)</sup> i rozbój. Honor nawet twój wymaga, abyś przynajmniej Kaniowskiego wprzód monitował<sup>4)</sup>, nim się porwiesz.

— A gdzie ja go będę szukał? — rzekł Gozdzki.

— We Lwowie jest... łatwo go zdybiesz.

U wojewodzica wszystko szło piorunem. Dawaj konie do Lwowa... Tu przybywszy, do starosty się dostać nie było łatwo, zamykał się w kamienicy, a kozactwo drzwi pilnowało. Czatował na niego wojewodzie w rynku i przydybał, gdy z kościoła powracał. Zaszedł mu drogę. Ludzie, co to zdala widzieli, stanęli patrzeć. Gozdzki był olbrzymiej postaci, jak dąb, ramiona szerokie, co się zowie, piękny mężczyzna, głowa zawsze do góry, czapka zawsze na bakier, ręka w boki. Starosta wysoki, chudy, kościsty, niepozorny, twarz żółta, oczy wpadłe i koso patrzące, trochę przegięte, więcej miał minę franta, niż zawadyaki. U Gozdzkiego noga i ręka pańska, u starosty stopy ogromne, ręce kościste, czarne. Z wojewodzie straszno się było

<sup>1)</sup> Wmieszanie się, wtrącanie się.

<sup>2)</sup> Przywiódł do rozwagi.

<sup>3)</sup> Napad, najście.

<sup>4)</sup> Upominał.

spotkać, bo albo zabił lub zapał; z tamtym się rozdrażnić, człek spać nie mógł spokojnie, mógł kazać podpalić, na rękę nie wyzwał, ale do śmierci nie przebaczył. Znali się z twarzy i z reputacyi<sup>1)</sup>. Starosta chciał minąć bokiem, Gozdzki mu w oczy zaszedł.

— Czołem, panie starosto, parę słów.

— Ja waszmości nie znam.

— To może poznasz, Gozdzki jestem, Humiecka mnie rodzi. Naturę mam taką, że trutniów nie znoszę.

— A ja też i junaków w dodatku.

— Mam was, panie starosto, przestrzedz.

— Przestróg nie potrzebuje.

— Zyczę je wziąć, gdy daję, bo mogę naukę dać, a ta będzie mniej strawną. Ożenił ci się waszmość z biedną szlachecianką, a obchodzisz się z nią, jak z niewolnicą, popraw się, lub źle będzie.

— Kto ci dał prawo mnie upominać?

— Prawo mam od Boga i natury, z miłości bliźniego. Nieszczęśliwą kobietę uciemioną każdy uczciwy człowiek ratować powinien.

Starosta się rozśmiał i ramionami ruszył, mruczając:

— Waryat.

Gozdzki rękę podniósł i krzyknął:

— Poznasz mnie, com zaczą...

I rozeszli się; a starosta tegoż dnia do Zbaraża odjechał.

W Gozdzkim już wszystko wrzało. Wnet teje

<sup>1)</sup> Sława, słynność.

nocy swojego zaufanego posłał, aby się rozwiadzał w Zbarażu, co się tam za powrotem Kaniowskiego dzieje; ten powrócił, donosząc, iż starosta żonę na chleb i wodę posadził w ciemnej izbie, a na ojca, którego posądzał, że się skarżył, miał wyprawić kozaków, aby go rugowali<sup>1)</sup> z folwarku.

Niewiele myśląc, Gozdzki ludzi zebrał i poszedł na Zbaraż. Tu go się nikt nie spodziewał, bo w głowie nie było nikomu, aby się wojewodzie ważył dom napaść. Kozacy nadworni, wedle zwyczaju, na straży byli, ale połowa spała, a druga bez broni około dworu baraszkowała. Gdy Gozdzki nagle natarł na domostwo z wystrzałami i hałasem, kozacy przełęknięci ani się nawet porwali ku obronie; kto żył, nogi za pas wzięwszy, zmykał w konopie, w krzaki, pod szopy, nie wyjmując starosty, bo i ten zemknął za dwór i schował się do rowu. Wojewodzie z tryumfem wtargnął do mieszkania i, przetrząsłszy całe, nierychło w ciemnej izbie na klucz zamkniętą jejmość wyszukał. Ta, przestraszona tąż napaścią, nie wiedząc, kto i co, sądząc, że rozbójnicy jacy naszli, padła mu do nóg, blagając, aby jej życia nie odbierał.

— Ale ja w obronie jej życia przybyłem — podnosząc ją, zawołał Gozdzki — proszę się uspokoić. Zastyszałem o jej męczeństwie i znęcaniu się starosty i w pomoc jej przychodzę. Napominałem go próżno; trudno się po nim poprawy spodziewać, a pani godną jesteś lepszego losu. Zabieram więc

<sup>1)</sup> Wypędzili.

ją z sobą do Lwowa, i procesem rozwodowym się zajmę, a na opiece uczciwego człowieka pewnie acani dobrodziejka nie stracisz.

Piękna postać starościny, jej łzy, nieszczęście, wszystko to razem Gozdzkiego poruszyło, iż gotów był dla pomocy jej choćby życie i majątek stawić. Opierała się długo, obawiając zemsty starosty, lecz w końcu ją przekonał i poprzysiął, że na honor jego i uczciwość zdać się może.

— Ja pani starościny w szponach jego zostawić nie mogę... Towarzyszę jej do Lwowa, gdzie przystojne i bezpieczne dla niej schronienie znajdziemy.

Z płaczem tedy musiała jejmość honor i życie powierzyć temu, jakby z nieba spadającemu obrońcy. Ze Gozdzki z ludźmi konno przybył, kazał ze stajni powóz i brykę wyciągnąć, konie starosty zaprzadź, rzeczy starościny spakować, swoich dwóch ludzi na kozły wsadził i sam, towarzysząc w eskorcie, natychmiast zawiózł jejmość do Lwowa. Tu, do klasztoru panien benedyktynek wprost kazawszy zajechać, sam do przełożonej poszedł i jej panią starościnę zdał na opiekę. Nazajutrz zaś w imieniu jej pozwy podał do rozwodu, w których wszystkie prześladowania, złe obejście, znęcania się, bicie i t. p., były wymienione.

Gdy po odjeździe Gozdzkiego pan Kaniowski, z konopi wyszedłszy, dowiedział się o wszystkim, naprzód kozactwo, które się nie broniło, srogo ukarał, zmienił ludzi, potem, zebrawszy nowych, natychmiast na Dąbrowskiego, ojca żony, posądzając go o skargi, napadłszy, z folwarku go precz wyгнаł

i na gościniec wyrzucił. W furji<sup>1)</sup> niesłychanej dzień i noc chodząc, zemstę począł knować, a tak rozpasyonowany<sup>2)</sup> będąc doznaniem upokorzenia, iż do ludzi nie gadał, i przystępu do niego nie było. Ostrzegano Gozdzkiego, iż nie lada zemstę gotuje; ten, sobie to lekceważąc, poświstywał.

Zeszło tak tygodni kilka, a o zemście jakoś slychać nie było. W Jaryczowie ludzie ciągle w pogotowiu stali do odparcia wszelkiej napaści; co do osoby swej Gozdzki nie miał zwyczaju się lękać i gotów był sam stanąć przeciw dziesięciu. Chodził zawsze zbrojny, a na animuszu<sup>3)</sup> nigdy mu nie zbywało. Tymczasem wypadła potrzeba do Kamieńca jechać, i wojewodzie samoszość<sup>4)</sup> się wybrał, nic złego nie przeczuwając. Na to tylko czyhał starosta. Napaść go w drodze się nie ważył, lecz ludzi swoich przodem dwiema partjami co najpewniejszych wysławszy do Lwowa, sam wreszcie tu nocą nadjechał i, jak świt, obstawwszy klasztor benedyktynek, w pogotowiu powóz mając i ludzi, do furty kazał bić, grożąc wylamaniem, jeśliby mu żony nie wydano. Zakonnice się wylękły, o pomoc nie było do kogo się udać, strach taki je ogarnął, że wreszcie nieszczęśliwą starościnę w ręce męża wydały. Udała się więc sztuka, i Kaniowski, odzyskawszy jejmość, tejże chwili do Zbaraża ruszył.

<sup>1)</sup> Wściekłości.

<sup>2)</sup> Rozsierdzony.

<sup>3)</sup> Męstwie.

<sup>4)</sup> Z 5 ludźmi.

Aliści szczególna jakaś opatrność nad nią czuwała, bo teje godziny, gdy do Jaryczowa znać dano o wypadku, Gozdzki z Kamieńca wracał. Ani chwili nie mieszkając, ludzi zebrawszy, puścił się w pogoń za starostą, który się nie spodział, iż go ścigać może. Właśnie dla znużenia koni o cztery mile za Lwowem na popas w karczynie stanęli, mając się jednak na baczności, gdy wojewodzie nadażył ze swymi desperatami. Ze karczma, w której się to działo, na uboczu stała, nim dobiegli do niej, już Potockiego ludzie czas mieli za broń pochwyć. Wrota zatarasowano, w oknach rozsądził starosta kozaków ze strzelbami, i do formalnego przyszło oblężenia i szturm. Sam Gozdzki nim kierował, zapowiedziawszy swoim, że nieszczęśliwą kobietę, dla której zemsty się lękał, wyzwolić musi, choćby miał życie postradać. Starosta też zajadłe się postanowił bronić. Gdy pierwszy szturm przypuszczono, padły strzały z za okiennic tak nieszczęśliwie, że kula Gozdzkiego w lewe ramię trafiła, a choć się krwią zalał, tem zajadlej rzucił się na oblężonych. Ludzi mu ubito kilku, ale z boku też okiennicę wylamano, i Potockiemu zginęło z milicyi trzech. Naręszcie z tyłu do słabszych wrót wtargnął Gozdzki ze swymi, i w progu począł się krwawy bój, który trwał z pół godziny, póki starościńskich nie przemogli. Mimo rany, z pistoletami w ręku samotnie wojewodzie wpadł wewnątrz i, od izby zamkniętej drzwi wywaliwszy, starościnę znalazł z przestachu na pół umarłą. Kaniowski z ludźmi cofnął się był w drugi koniec domu, odstrzeliwając, ale go nie napastowano, jak tylko jejmość miano

w ręku. Trupów z obu stron padło podobno kilkunastu, lecz starościna była ocaloną, i Gozdzki puścił się z nią razem do Lwowa, Potockiego na pojowisku zostawiając.

W mieście już się awantura była rozeszła, i panny benedyktyнки klasztor zamknęły tak, że, gdy do nich znowu przybył wojewodzie, chcąc im panią powierzyć, za nic w świecie już się tej niebezpiecznej opieki podjąć nie chciano. Jeździł z nią tak cały dzień od klasztoru do klasztoru, obiecując sowitą nagrodę, straż i opiekę, ale żaden mu się nie otworzył. Koniec końców trzeba było jejmość w Jaryczowie umieścić, co ani dla niej, ani dla Gozdzkiego nie mogło być miłym. Szło zatem, iż, salwując<sup>1)</sup> honor, gdyby rozwód stanął, żenić się musiał, o czem nigdy nie myślał, bo był wietrznik i bałamut, i cale mu to nie szło na rękę. A choć piękna i dobra starościna podobać się mogła, wszelako nie była to żona dla wojewodzica, i szczęścia sobie przynieść się nie spodziewali. Co jednak cale inaczej się stało, jak zobaczymy, bo nigdy człowiek nie wie, gdzie znajdzie, co dla niego dobre, tak jak często szkodliwego nie dojrzy i właśnie się go napiera. Na tem nie koniec; uparł się wojewodzie, stał przy odzyskaniu żony starosta, aby na swoim postawić. W Jaryczowie dwór cale obronny nie był, chyba go męstwo i czujność osłaniały. W tydzień potem, starosta, ludzi zebrawszy niemając bandę, nocą naszedł na dom. Zastał wszystko tak przysposobione, że na niego jeszcze wycieczkę

<sup>1)</sup> Ratując.

zrobił Gozdzki, i o mało we dwa ognie ich nie wzięto, tak, że, napukawszy nadaremnie, a strachu się najadłszy, odciągnąć musieli staroścince.

Drugi raz w biały dzień, spodziewając się znaleźć mniej czujnych, wtargnęli ogrodami z tyłu na dwór, bo im snać szpiegi doniosły, że z tej strony miała apartament<sup>1)</sup> starościna i czasem do ogrodu wychodziła na przechadzkę. Ten drugi napad jeszcze gorzej wyszedł staroście, kozaków rannych i zabitych było z dziesięciu, a milicya Gozdzkiego tak ich ściagała, spędziwszy, że konie im padały w ucieczce, a przerażone chłopstwo w rowy i krzaki się pozaszywało.

Nie było już co czynić. Posłał pan Kaniowski pismo do Gozdzkiego, które nocą mu w Jaryczowie do drzwi przybito, grożąc, jeżeliby żony dobrowolnie nie oddał, że mu Jaryczów na cztery rogi podpali i w popiół obróci.

Nazajutrz w Zbarażu kazał Gozdzki kartę przykleić.

— Zony ci nie oddam, boś ty jej nie wart, a ja groźbom ulegać nie zwykłem. Spalisz ty mi Jaryczów, który u mnie jeden jest, ja ci z dymem puszcę pięć twoich miasteczek dla pokwitowania.

Wojna tedy a wojna. W Jaryczowie formalną<sup>2)</sup> palisadę i rowy trzeba było dawać dokola dworu, a na wałach posadzono dwa działka, więcej dla postrachu, niż dla skutku, bo nie bardzo z niemi się kto obejść umiał. W kilka tygodni ledwie się

<sup>1)</sup> Pokój.

<sup>2)</sup> Prawdziwą.

niewiele uspokoiło. Starosta napadał na Gozdzkiego, a ten już, na baczności się zawsze mając, bo go to bawiło, stawał w obronie i, prochu napsuwszy, często ludzi nakaleczywszy sobie, rozchodzili się *ad videndum!*<sup>1)</sup> Dla wojewodzica to było rozrywką, przyczem, że punkt honoru mu nakazywał nie-szczęśliwą starościncę bronić, a na nikogo tej obrony zdać nie mógł, zmuszonym był, dawne swe życie bałamutne porzuciwszy, doma siedzieć i swemu gościowi atentować<sup>2)</sup>. Ze z tego stalszy afekt<sup>3)</sup> po raz pierwszy w życiu w człowieku rozbałamuconym się wywiązał, było już w przeznaczeniu. Wojewodzie powziął szacunek dla starościncej, amory<sup>4)</sup> swe lwowskie porzucił, stał się więcej domatorem i nie skarżył się na to. Proces rozwodowy szedł tępo, choć na powodach do niego nie zbywało, a Gozdzki na to nie żałował. Lecz w konsystorzu i Potocki też miał swoich obrońców, a grosza nie-równnie więcej od wojewodzica, któremu na nim zawsze zbywało.

Trudna do wiary, a przecież prawdziwa rzecz, że się ta sytuacja<sup>5)</sup> lat dwa przeciągnąć mogła, a ani starosta się nie wyrzekał żony, ani Gozdzki obrony jej.

Pzyszło do tego, że, gromadnie raz naszedłszy na Jaryczów nocą, Potocki owe dwie armatki sto-

<sup>1)</sup> Do zobaczenia (łac.).

<sup>2)</sup> Godność świadczyć, okazywać grzeczność i szacunek.

<sup>3)</sup> Uczucie, miłość.

<sup>4)</sup> Amor — miłość.

<sup>5)</sup> Położenie.

jące na wałach, które żadnego strzału nie dały, zabrał i, cofając się, uprowadził z sobą w tryumfie.

Gozdzkiego to tak obeszło, iż z całą gromadą puścił się w pogoń, gotów znowu życie stracić, aby dyzhonor<sup>1)</sup> nie mieć. Starosta się mężnie bronił, ale, naciśnięty, armatki porzucił. Więc je, zielenią poobwiązawszy, z wielkim hukiem i krzykiem nazad na wały zaprowadzono, gdzie spokojnie sobie drzemać mogły, bo im wartowników dodano.

Gozdzkiego przyjaciele różnemi racyami przekonać się starali i skonwinkować<sup>2)</sup>, żeby do jakiej zgody i kompromisu<sup>3)</sup> ze starostą przyszło, bo mu to wistocie życie zatruwało, nie dał się jednak złamać.

— Kobiety nieszczęśliwej nie rzuce, na łup jej rozbójnikowi nie dam. Gozdzki nigdy nikogo nie zawiódł i nie zdradził. Co będzie, to będzie, Kaniowski beknąć musi. Gdyby już nie o kobietę mi szło; to o honor idzie. Nie dam mu się przechwalać, że mnie w kaszy zjadł.

Starosta do zgody był skłonniejszy może, bo spokoju chwili nie miał, ani w domu, ani za domem, ruszyć się nie mógł bez kilkudziesięciu z milicyi; nocami stawić musiał straże i, choć czasem jaki miesiąc spokojnie upłynął, Gozdzki zasadzał się na niego, czatował i, gdy się go najmniej spodziewano, napadał.

Postanowił sobie bowiem, że starostę w jakikolwiekby sposób ująć musi w niewolę i dopiero

<sup>1)</sup> Dyzhonor — obraza na honorze, zniewaga.

<sup>2)</sup> Przekonać.

<sup>3)</sup> Układu.

z nim traktat<sup>1)</sup> pokoju podpisze. Niełatwo to było, miano się bowiem na baczności. Z obu stron szpiegów sobie nasyłano. Ruszył się pan Kaniowski do dóbr swoich, na drodze go pilnowano, a czasem nocą, choć bez nadziei skutku, alarmowano<sup>2)</sup>. Zrywało się, co żyło, na nogi, do samopalów, a nieprzyjaciela już nie było. Tak go drażnił, męczył i irytował<sup>3)</sup> Gozdzki, póki nareszcie wypadek końca nie położył tej utrapionej wojnie.

Obadwa już bez dobrej komitywy<sup>4)</sup> ludzi zbrojnych z domu się nie ruszali. Jakoś jesienią Potockiemu wypadł nocleg w Glinianach. Roztasował się był tylko co w gospodzie, gdy z drugiej strony aspirant<sup>5)</sup> wojewodzie nadciągnął. Zyd, do którego miał zajechać, ze strachu i aprehensyi<sup>6)</sup>, aby mu domu nie zniszczono, począł wołać, że starosta Kaniowski jest w mieście.

W to mu graj. Nie dając czasu tamtym zebrać się ku obronie, nie zsiadając z koni, tejże chwili rzucił się Gozdzki i karcznię otoczyć kazał. Ponieważ mu razy kilka Potocki sam tyłami uszedł i salwował<sup>7)</sup> się pieszo, a kozaków darmo wybijać już mu się sprzykrzyło, wojewodzie część swoich odłączył i na tyłach gospody zasadzkę w chmielniku urządził. Na dany znak rzucono się na karcznię ze

<sup>1)</sup> Umowa piśmienna.

<sup>2)</sup> Trwożono.

<sup>3)</sup> Gniewał.

<sup>4)</sup> Świty, orszaku.

<sup>5)</sup> Ubiegający się o coś, współzawodnik, przeciwnik.

<sup>6)</sup> Dbłość o co, baczność.

<sup>7)</sup> Ocalił się, uciekł.

trzech stron, czwartą, jakby z pośpiechu i nieogłędności zostawując wolną. Więc po staremu z okien starościńscy ognia dają, a tu w okna i bramy Gozdzkiego milicya szturmuje. Nie obeszło się bez krwi rozlewu, bo z obu stron dzielnie się nauczyli napadać i bronić. Aliści, jak zawsze, ludzie wojewodzica górę wzięli, niema tu już nic do czynienia, tylko z życiem umykać.

Dano znać starości, że na tyłach od chmielnika przesmyk wolny. Pań Kaniowski, samotnie z furtki wyskoczywszy, wprost do gąszczów chciał smyknąć, gdy z rowu zasadzeni ludzie, którym sam niemal się w ręce rzucił, pochwycili go.

Okrzyknięto zdobycz, i wojewodzie podbiegł, aby się oczyma własnymi o niej przekonać.

— Nol panie starosto — zawołał — jesteś w moich ręku, nie nie pomoże... każ ludziom broń złożyć. Wojna skończona, niema tu już co tergiversować<sup>1)</sup>, trzeba się poddać. Niejeden raz i królowie bywali do niewoli brani. Honor mój ręczy, iż mu się żaden despekt<sup>2)</sup> nie stanie...

Ustało strzelanie. Starosta rad nie rad poddał się losowi swojemu. Szli tedy razem do izby karczemnej, a wojewodzie wino i gorzałkę kazał przynieść, aby i ludzie, i oni po boju się pokrzepili. Wszakże strażę stały dokola. Z wielkich rankorów<sup>3)</sup> i straszliwych zaciętości jako przyszło zaraz do osobliwej komitywy<sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Uciekać, tył podawać.

<sup>2)</sup> Uchybienie, obraza.

<sup>3)</sup> Rankor — uraza, gniew.

<sup>4)</sup> Zażyłości, przyjaźni.

— Nie mogę zaprzeczyć — odezwał się Gozdzki do więźnia — żeś mi waszmość porządnie też zalał za skórę. Łatwiej było wojnę prowadzić panu starości, niż mnie, który krociów w skrzyniach nie mam i milicyę utrzymywać musiałem, ostatekami goniąc, aby się nie dać. Zatem traktat i przymierze zawrzemy, a warunki, jakie podyktuję, podpiszecie, inaczej będzie źle.

Starosta milczał.

— Pisz asińdziej warunki, zobaczymy.

— Ja z kalamarzem i piórem miewam rzadko do czynienia — rzekł Gozdzki — brzydę się niemi, pošlemy po jakiego gyzipiórka.

Starosta też w pisaniu nie był mocny. Delegowano<sup>1)</sup> do miasteczka, które całe stało na nogach, aby człeka piśmiennego wyszukać... właśnie od tego, trafem narzuconego lwowskiego kauzyperdy<sup>2)</sup>, niejakiego Atamanowicza, te szczegóły z własnych ust jego słyszałem. Znajdował on się podówczas w Glianach na noclegu i miał pożywać rybę faszzerowaną po żydowsku, gdy na niego wskazano i do starosty proszono... Niebardzo mu się chciało między drzwi kłaść palca, ale dwu barczystych drabów byliby go pod ręce wzięli, choćby się i opierał. Szedł więc Atamanowicz do gospody... Dwaj antagoniści<sup>3)</sup>, już u stołu jednego siedząc, pili, jeden drugiemu przypominając różne zajścia i wypadki dwuletniej wojny...

<sup>1)</sup> Posłano.

<sup>2)</sup> Kauzyperda — lichy prawnik.

<sup>3)</sup> Przeciwnicy.



— Jak się acińdziej zowiesz? — zaczął Gozdzki.

— Atamanowicz.

— Nieciekawe nazwisko, pachnie kozakiem, ale co robić! umiesz pisać?

Ten się uraził.

— Mecenasem jestem.

— To nic nie dowodzi — rzekł Gozdzki — mecenasowi tylko gęba potrzebna.

— I głowa — dodał Atamanowicz.

Tem go sobie zjednał, dali mu lampkę wina.

— Otóż widzisz, acińdziej — odezwał się Gozdzki — jest rzecz taka: ja z panem starostą kaniowskim prowadziłem wojnę lat dwa, nie o piękną Helenę, ale o zasną niewiastę, którą on miał za żonę. *Summa summarum*<sup>1)</sup>, gdy się prochu dużo napsuło, pana Potockiego wziąłem w niewolę... Zawieramy traktat, a acińdziej zajmiesz się spisaniem go, żeby to było mocnem i niewzruszonym.

Atamanowicz, człowiek przezorny, który miał ten dobry zwyczaj, że z sobą zawsze nosił inkaust<sup>2)</sup> w rogowym kałamarzyku, pióro i papier... milcząc poszedł na róg stołu i rozłożył się ze swym warsztatem... poczynając, aby czasu nie tracić, od aryngi<sup>3)</sup>. »Między Jaśnie wielmożnym JMPanem Mikołajem Bazyliem Potockim, starostą kaniowskim z jednej, a Jaśnie Wielmożnym Józefem hr. Gozdzkim.

— *Sine titulo*<sup>4)</sup> — wtrącił wojewodzie. — Sta-  
nęła na dniu dzisiejszym dnia, miesiąca, roku,

1) Koniec końców (łac.).

2) Inkaust — atrament.

3) Arynga — wzór pisania papieru urzędowego.

4) Bez tytułu (łac.).

w miasteczku Glinianach, wobec świadka uproszonego...

— Pięknie mnie prosili — wtrącił Atamanowicz — bo mnie dwóch drabów popychało...

Rozśmiał się Gozdzki.

— To się w honoraryach<sup>1)</sup> zlikwiduje... następująca dobrowolna umowa...

— Pięknie dobrowolna — przerwał starosta — kiedy mi milicja JMP. Gozdzkiego nad karkiem stoi.

— Ale do niczego nie przymusza — odezwał się Gozdzki — wolisz pan starosta w Jaryczowie siedzieć w ciupie, nie bronie.

— Niedoczekanie twoje — odparł starosta — kat cię bierz...

— Dobrowolnie — dodał Gozdzki — i kłąć nie trzeba, bo to się na nic nie zdało, a krew psuje.

Tu Gozdzki punkt po punkcie dyktować zaczął.

— JW. Pan starosta kaniowski na rozwód z żoną swą *de domo*<sup>2)</sup> Dąbrowska... zezwala...

— Którą mu gwałtem Gozdzki odebrał — dodał starosta.

— Bo się starosta z nią źle obchodził...

Atamanowicz ze zwieszonym piórem czekał roztropnie rozkazów.

— Te wszystkie *particularia*<sup>3)</sup> w kontrakcie stać nie powinny — rzekł Gozdzki. — Zezwalasz pan?

— Kiedyś ją lat dwa trzymał... to ją sobie trzymaj i dalej, zgoda.

1) Zapłacie.

2) Z domu (łac.).

3) Sprawy osobiste (łac.).

— Drugi punkt. JW. Potocki pokrzywdzonemu ojcu żony swej, Dąbrowskiemu, którego na honorze i majątku oprymował<sup>1)</sup>, oświadcza się wypłacić tysiąc czerwonych złotych i puścić mu dożywotnią dzierżawą wieś Słomiankę, do starostwa kaniowskiego należącą.

Ofuknął starosta.

— Czemu nie dwie albo trzy wsie?

— Jeśli wola i łaska, choćby pięć — odparł Gozdzki.

— Pal was dyabli ze Słomianką.

To powiedziawszy, czekał pan starosta kaniowski, będąc pewnym, że sobie Gozdzki straty na majątku policzy i koszta wojny zlikwiduje, ale się w tem omylił.

— Punkt ostatni — rzekł wojewodzie. — Warunki opisane pan starosta obowiązuje się najdalej w przeciągu czterech niedziel dopełnić, *sub nullitate*<sup>2)</sup> niniejszego kontraktu, a spór w takim razie ma się rozstrzygać między nim a JMP. Gozdzkim, osobistem wyzwaniem na rękę i bojem... *judicium Dei*<sup>3)</sup>.

— Mości panie wojewodzicu — mruknął Potocki — ja co przyrzekam, to mam zwyczaj dotrzymywać.

— I ja też — ofuknął Gozdzki.

— *Tandem*<sup>4)</sup> owa groźba wyzwania na rękę

<sup>1)</sup> Uciskał, prześladował.

<sup>2)</sup> Pod groźbą unieważnienia (łac.).

<sup>3)</sup> Sąd Boży (łac.).

<sup>4)</sup> Tedy (łac.).

*superflua*<sup>1)</sup>, ale mniejsza o to, próbuję tylko, żeś waszmość nie delikatny... ale i ja nim nie jestem. Kwita z byka za indyka... co napisał, niech stoi. Dla honoru mojego przecie nie obejdzie się obustronny kontrakt, abym i ja nie postawił punktów moich...

— A proszę — rzekł Gozdzki — i ciekawym.

— *Frimo*<sup>2)</sup> — począł ponuro starosta, patrząc w oczy Atamanowiczowi, a dając mu znak, aby, nie mieszkając, pisał: — JMPan wojewodzie, hrabia Gozdzki, wnet po rozwodzie, ma się ożenić z panią starościna Potocką.

Spojrzał na Gozdzkiego.

— Zgoda — rzekł zimno zagadnięty.

— Przed ślubem zaś zapisze jej na dobrach swych prostym długiem, wzięłem, pożyczylem, do rąk własnych odliczyłem, bez żadnego kondyktu<sup>3)</sup>, sto tysięcy złotych.

Gozdzki, jako był zawsze animuszu<sup>4)</sup> wspinałego, choć po niej ani grosza nie brał, a jeszcze go kosztowała sporo, ani zmarszczył się wcale.

— Pisz waćpan — rzekł do Atamanowicza.

— *Tertio*<sup>5)</sup> — dodał Potocki — broń i armatki, w ewentach<sup>6)</sup> wojny zabrane, obie strony sobie wzajem zwrócić wszystkie solennie<sup>7)</sup> niniejszem przyobiecuja.

<sup>1)</sup> Zbyteczna (łac.).

<sup>2)</sup> Po pierwsze (łac.).

<sup>3)</sup> Kondykt — umowa, spiszek.

<sup>4)</sup> Charakter, usposobienie.

<sup>5)</sup> Po trzecie.

<sup>6)</sup> Wypadkach.

<sup>7)</sup> Uroczyście.

Gozdzki śmiać się zaczął, aż się za boki wziął.

— A to mi się podoba — zawołał — to mi się podoba, bo dowcipne, ja ani jednego karabinka, dzięki Bogu, nie postradałem, więc idzie o to, abym oddał, cośmy zdobyli na panu staroście... honor salwowany <sup>1)</sup> kontraktem.

— Czy to już koniec? — spytał, spoglądając na Kaniowskiego.

— A nie — rzekł Potocki — ekscypuję <sup>2)</sup> sobie pozwolenie waszmości, abym moją żonę w obecności jego pożegnał... i aby na przyszłość pomiędzy nami stała i niezmienna przyjaźń została zawartą na wiekuiste czasy, aby nieprzyjaciele moi stali się nieprzyjaciółmi wojewodzica *et vice versa* <sup>3)</sup>.

— Dla mocniejszego zaś wrażenia w pamięć traktatu *pacificationis* <sup>4)</sup> — dodał Gozdzki — strony kontraktujące wymianą swych portretów dokumentować go się zobowiązują, *ad aeternam belli pacisque memoriam* <sup>5)</sup>. Pisz acan — dodał Atamanowiczowi, który pióro był zatrzymał.

Poczem, wstawszy, podali sobie ręce i uściskali się, a Gozdzki w ręce klasnął, wołając na swojego marszałka, aby przyjęcie gotował, nie tylko dla starosty, ale dla obu milicyi, żeby one też, zapomniawszy nieprzyjaźni dawnej, kielichem zgody pokój zapily.

<sup>1)</sup> Uratowany.

<sup>2)</sup> Wymawiam.

<sup>3)</sup> I na odwrót (łac.).

<sup>4)</sup> Zawarcie pokoju (łac.).

<sup>5)</sup> Na wieczną pamięć wojny i pokoju (łac.).

Zleciało się całe miasteczko patrzeć na to widowisko, gdy po świeżej batalii <sup>1)</sup> poczęto traktat obchodzić tak hucznie, z samopalów waląc i okrzykując go, iż się zdało, że wojna jeszcze trwała... Strach brał o strzechy słomiane. Starosta z Gozdzkim, poprosiwszy Atamanowicza, jak siedli pić, różne sobie dzieje i dykteryjki <sup>2)</sup> opowiadając, tak dopiero nazajutrz wstali — i to na niepewnych nogach. Instrument <sup>3)</sup> pokoju, na dwie ręce spisany i pieczęciami obu korroborowany <sup>4)</sup>, własnymi rękoma podpisawszy, rozjechali się dopiero nazajutrz po śniadaniu. Kauzyperdzie lwowskiemu, któremu osobiwie tego dnia posłużyło szczęście, dostało się za skrypturę <sup>5)</sup> po piętnaście czerwonych złotych od obu, a później jeszcze Gozdzki mu młodego żrebca podarował, za którego, jak powiedział, wziął, wyhodowawszy go, pięćdziesiąt czątych <sup>6)</sup>.

W kilka dni potem starosta z kawalkatą <sup>7)</sup> swą kozacką przybył do Jaryczowa, kędy na niego już oczekiwano, przyjmując z wszelkimi honorami, ale nie chciał nic, tylko żonę swą, niegdy pokrzywdzoną, widzieć; przyczem Gozdzki przez delikatność nie chciał być i z drugiego pokoju całej się scenie przypatrywał. Starosta, wszedłszy, z jakiegoś

<sup>1)</sup> Bitwie.

<sup>2)</sup> Zabawne opowieści.

<sup>3)</sup> Dokument, akt.

<sup>4)</sup> Stwierdzony.

<sup>5)</sup> Pisaninę.

<sup>6)</sup> Dukatów.

<sup>7)</sup> Swią, orszakiem.

sentymentu<sup>1)</sup> opóźnionego, do nóg upadł jejmości, upraszając, aby mu wszelkich uraz zapomniała i one przebaczyć raczyła. Na to biedna kobieta, oczywiście rada, że się uwolniła, odpowiedziała, iż, ile chce, aby jej Bóg własne winy przebaczył, tak panu staroście za wszystko dobre uczynione jest i będzie wdzięczną, złego nie pamiętając.

Potocki, chcąc się po pańsku okazać, w podarunku jej złożył trzy sznury pereł uryańskich<sup>2)</sup>, piękne z zapinką dyamentową i tysiąc czerwonych złotych jednego stempla, jak rodzeni bracia... Wszystkie też warunki umowy święcie dotrzymane zostały. A że wojewodzie ani wspomniał o kosztach wojny i procesu rozwodowego, chciał starosta wspaniałym być i z dobrej woli ofiarował półtora-kroć sto tysięcy złotych, które wojewodzie, jako własność przyszłej żony, na majątku ewinkował<sup>3)</sup>. *Tandem*<sup>4)</sup> po rozstaniu natychmiast *pro forma*<sup>5)</sup> pojechała starościna do benedyktynek na rezydencję<sup>6)</sup>, gdzie ją już teraz chętnie przyjęto; rozwód stanął wprędce, i Goźdzki wziął z nią ślub.

Kobieta była dobra, łagodna, piękna — i, gdyby się człek taki, jak on, ustatkować mógł, byłby się przy niej ustatkował, ale to była natura gorąca, niespokojna i nigdy tem kontentować<sup>7)</sup> się nie

1) Uczucia.

2) Wschodnich, z wschodnich Indyi pochodzących.

3) Udowadniał, stwierdzał.

4) Tedy.

5) Dla zachowania pozorów (łac.).

6) Pomieszkawanie.

7) Zadawalać.

mogąca, co jej Bóg dał. Pożycie więc, choć na oko dobre, oplakanem było dla jejmości, która o wszystkich niestatkach mężowskich zawiadamiana bywała i cierpliwie je ignorować<sup>1)</sup> musiała. Prawda, iż jej Pan Bóg dał dwu mężów z rodu znakomitego, jakich się prosta szlachcianka, ekonomska córka, spodziewać nie mogła, lecz co po tem, gdy przy tytule i powadze szczęścia brakło.

Szanował ją wojewodzie i obchodził się grzecznie, a na stronie szalał i niepokojem ją karmił, bo i życie narażał co chwila, i nieprzyjaciół mnożył. Nierychło się to nieco ustalo i ukołysalo. Wypadek zrzucił, iż wojewodzicowa, w jednej kompanii będąc we Lwowie, zmuszona do tańca, nieszczęśliwie w nim na wznak upadła, a że była dosyć słuszną i w miarę ciała miała, całą wagą padłszy na krzyże, tak szwankowała<sup>2)</sup>, iż po kilku miesiącach słabości, mimo najbieglejszych lekarzy, zmarła, której Goźdzki rzeczywiście żałował, i oplakał ją, nie przestając do późnego wieku wspominać z utęsknieniem...

1) Udawać, że się o czemś nie wie.

2) Poniosła szwank, t. j. szkodę.

Muzeum  
JIK  
TOMANOWICZ  
2216

61. Sewer. Lusia Burlak.
62. — Wiosna.
63. — Dola.
65. Sieroszewski W. Kulisi.
68. Kaczkowski Z. Bitwa o chorążankę.
69. Prus B. Cienie. Z legend dawnego Egiptu. W górach.
71. Konopnicka M. W Winiarskim forcie.
72. — Urbanowa.
73. — Miłosierdzie gminy.
74. Lenartowicz T. Wybór poezyj.
75. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Wybór poezyj.
82. Kraszewski J. I. Jak się dawniej listy pisały.
90. Korzeniowski J. Karpaccy górale.
91. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Ułas.
93. — Jan Dęboróg.
95. — Wielki czwartek.
96. Asnyk Adam. Wybór poezyj.
98. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej.
101. Chrzanowski Ign. Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza?  
Wyd. 2-gie.
102. Krasicki Ign. Bajki i przypowieści. Wybór.
105. Niemcewicz J. U. Wybór poezyj.
118. Orzeszkowa E. Światło w ruinach.
119. Kubala L. dr. Mieszczanin polski z XVII w.
122. — Obłężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem.
125. Szajnocha K. Zdobycze pługa polskiego.
127. Mickiewicz Adam. Ballady i romanse.
128. — Bajki i powiastki.
130. Słowacki Jul. Ojciec zadżumionych. — W Szwajcarii.
131. — Jan Bielecki, — Mnich. — Arab. — Hugo.
135. Orzeszkowa E. Daleko. — Karjery.
137. — Dobra pani.
138. — Panna Róża.
141. Konopnicka M. Z Liryk i obrazków.
142. Niemcewicz J. U. Śpiewy historyczne.
143. Mickiewicz A. Sonety Krymskie. — Farys.
145. Brodziński K. Wiesław.
146. Kondratowicz L. Szkolne czasy.
147. Słowacki J. Liryki. (Wybór).
148. Malczewski A. Marya.
149. Fredro A. Pan Geldhab.
150. — Zemsta za mur graniczny.
151. — Śluby panieńskie.
162. Byron. Więzień Czylonu. Przekład Móraskiego.
163. Szymański A. Stolarz Kowalski.
164. Słowacki J. Anelli.
165. Krasieński Z. Przedświt.
166. Mickiewicz A. Konrad Wallenrod.
167. — Grązyna.
168. Szekspir W. Sen nocy letniej.
170. Dynowska M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego:  
Bielski, Górnicki, Strykowski, Paprocki.

171. Szekspir W. Hamlet. Przekład Paszkowskiego.  
172. — Makbet. Przekład Paszkowskiego.  
174. — Król Lir. Przekład Paszkowskiego.  
175. — Otello. Przekład Paszkowskiego.  
176. Mościcki H. Wernyhora.  
178. Ustawa rządowa z d. 3 maja 1791 r.  
179. Katechizm narodowy z 1791 r.  
180. Reymont St. Z ziemi chełmskiej.  
181. Prus B. Omyłka.  
182. Romanowski M. Liryki.  
185. Szujski J. Tadeusz Rejtan na sejmie.  
188. Chrzanowski Ign. Liryka patriotyczna Asnyka.  
189. Asnyk A. Poezje patriotyczne.  
190. Szekspir W. Juljusz Cezar.  
191. Hoffmanowa Kl. Obiad czwartkowy.  
192. Kochanowski J. Treny.  
193. Oppman A. (Or-Of). Pieśni o księciu Józefie.  
196. Słoński E. Wybór poezyj. »Ta co nie zginęła«.  
197. Korzeniowski J. Wasy i peruki.  
198. Krasicki I. Powieść o narożnej kamienicy.  
199. Szajnocha K. Matka Jagiellonów. Szkic historyczny.  
200. Molière J. Skapiec. Przetłóżył Boy.  
201. Żółkiewski St. Początek i progres wojny moskiewskiej.  
202. Smoleński Wł. Znaczenie Tadeusza Kościuszki w dziejach Polski.  
204. Szajnocha K. O »Łaźnia« Bol. Chrobrego. Kopja husarska.  
205. Smoleński Wł. Znaczenie Konstytucji 3 maja.  
206. Słowacki J. Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską.  
207. Pol W. Wit Stwosz.  
208. Dubiecki M. Bohaterski naczelnik powstania styczniowego (Romuald Traugutt).  
209. Zmorski R. Wybór poezyj.  
210. Oppman A. Pieśni o belwederskiem powstaniu.  
211. — Pieśni o legionach.  
212. Konarski St. O obowiązkach Polaka.  
213. Mościcki H. Twórca pieśni: »Jeszcze Polska nie zginęła«...  
214. Korzeniowski I. Kolokacja.  
215. Sienkiewicz H. Stary sługa.  
216. Szekspir W. Kupiec wenecki.  
217. Słowacki J. Kordjan.  
218. Żeromski St. Rozdzióbią nas kruki, wrony. Dó swego Boga.  
219. Wyspiański St. Kazimierz Wielki.  
221. Włodek L. Bolesław Prus.  
222. Goethe J. W. Cierpienia młodego Werthera, w przekładzie i ze wstępem P. Choynowskiego.  
223. Małaczewski E. Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica.  
225. — Dzieje Bałki murmańskiej.  
226. Chrzanowski I. Komisja Edukacyjna i jej posiew.  
227. Reymont Wł. Ave Patria morituri te salutant. Los Toros.  
228. Siedlecki-Grzymała A. Żołnierz.  
230. Konopnicka M. W Gdańsku.  
231. — Hrabiańko. Jak Suzin zginął.